

Nazywam się Jadwiga Burzyńska - z domu Bejtman. Urodziłam się w czerwcu 1927-go roku. Do wybuchu wojny ukończyłam sześć klas szkoły podstawowej. W okresie okupacji sowieckiej uczyłam się w tak zwanej "dziesięciolatce". W okresie okupacji niemieckiej - to jak wiadomo, nie było żadnej nauki. Każdy starał się jakoś utrzymać i gdzieś cośkolwiek zarobić.

W rodzinie było nas czworo dzieci. Ojciec pracował w piekarni w tym czasie. Zarabiał niewiele, bo 40 marek, więc musieliśmy pomagać w jakiś sposób rodzicom, żeby utrzymać się. Przeżyliśmy koszmar okupacji i kiedy wszyscy się już cieszyli, że odzyskujemy wolność, że wreszcie zapanauje spokój - niestety.

W dniu 6-ego listopada 1944 roku w nocy obudzono nas, jak się okazało, to byli funkcjonariusze NKWD, którzy powiedzieli, że mamy iść na sprawdzenie dokumentów. Znając ich postępowanie wiedzieliśmy, że to tak się nie skończy. Oczywiście, to co mogliśmy wziąć z ubrań, to od razu zabraliśmy. Zgłosiliśmy się do punktu w śródmieściu. Jak przyszliśmy było już tam dużo ludzi z torbami, walizkami. Jak się okazało, to nie było sprawdzenie dokumentów, tylko po prostu zapakowano nas do samochodów i zawieziono na Ogrodową. Tam w piwnicy dwa czy trzy dni siedzieliśmy. Wzywano nas na górę. Rosjanie przeprowadzali różne wyjaśnienia, pytali o różne osoby, ale co ja mogłam wiedzieć mając lat siedemnaście. Właściwie niczego nie powiedziałam i nawet oficer obiecywał, że wrócę z mamą do domu.

Ale, niestety tak się nie stało.

Następnie przewieziono nas do więzienia na ulicę Kopernika z mamą. Ojca i brata już tu nie było. Ja zostałam w tej piwnicy na Ogrodowej tylko z mamą. Oni stopniowo do więzienia wywozili. Potem zostałyśmy tylko z mamą. Wydawało mi się, zresztą jeden z oficerów - bardzo sympatyczny, obiecał, że my pójdziemy do domu. Nawet przynosił, o dziwo, był tak szlachetny, że przynosił mi swoje śniadania, obiady. Widocznie litował się nad młodą dziewczyną, Nie mam pojęcia, czym się kierował, ale przynosił mi coś do zjedzenia, bo przecież byliśmy głodni.

Niestety, wywieźli nas do więzienia na Kopernika. Tam byliśmy do 11-ego listopada i w nocy 11-ego listopada ciężarowymi samochodami, okrytymi plandeką wieźli nas w nieznanym kierunku. Myślałam, że to jest już moja ostatnia droga. Bałam się bardzo, bo wydawało mi się, że wiozą nas albo rozstrzelać, albo coś z nami zrobić. Jak się potem okazało, załadowano nas do takich bydłowych wagonów i rano ruszyliśmy pociągiem na wschód. A wiem dlaczego, dlatego, że przejeżdżaliśmy przez Dworzec Fabryczny. Tam ludzie rzucali karteczki, żeby jakoś powiadomić swoich najbliższych, że wywożą nas do Rosji. No, i tak się stało.

Oczywiście jedzenie w tych wagonach było takie, że dostawaliśmy suchary, na których można było zęby połamać i słoną słoninę. Jak się po tym chciało pić. Na niektórych stacjach, pamiętam Smoleńsk, wyszłam ja między innymi, po wodę zimną oczywiście. Widziała, jak bardzo był zniszczony Smoleńsk.

Od czasu do czasu podawano nam wodę. Jechaliśmy cały tydzień do Rosji. Zajechaliśmy do Ostaszkowa/oczywiście

nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy, ale jak się potem okazało to był obóz w Ostaszku. Pamiętam taki moment na stacji. Młoda dziewczyna wysiadała z któregoś wagonu z matką i ta matka zmarła tam na stacji. Rozpacz straszna, bo ona tylko z matką była. Oczywiście nikt nie zastanawiał się, jaki to był dla niej ból, co przeżywa ta dziewczyna. Zabraли po prostu tą matkę, a ją do obozu. Było tak zimno w czasie podróży, że ludzie podmrażali sobie ręce, nogi. Grzali się wspólnie, zresztą tłok był straszny w tych wagonach.

Ja odmroziłam uszy i palce u nóg. Ręce jakoś chroniłam, wkładałam gdzieś sobie. Jak tylko było chłodno, to jakie wypryski miałam na uszach, gniły mi. Chodziłam do laboratorium w tym obozie.

Oczywiście pod konwojem poprowadzono nas, całe szeregi tych ludzi - do obozu i widziałam, byłam zaskoczona, kiedy doszliśmy do bramy pierwszej / bo tam były dwie bramy /, powóz, zobaczyłam mego znajomego, konkretnie to był mój nauczyciel z matematyki, który był zaprzężony do fury - pan Lis, który uczył między innymi w szkole polskiej w Wasilkowie.

Na tym wozie było drewno na opał w tym obozie i oni to ciągnęli / oprócz niego inne osoby, których nie znałam /. Dla mnie to był szok. On był w wieku około pięćdziesięciu lat, miał rodzinę, ale wywieziony był sam. Za okupacji niemieckiej tu mieszkał, bo tu jego żony rodzice mieszkali.

Wprowadzono nas przez te dwie bramy do obozu i zaraz pierwszy na prawo barak numer 1 / bo tam było 7 czy 8 baraków / - kobiety poszły do tego pierwszego baraku. Ja byłam w sali po lewej stronie, w której mieszkało 130 kobiet i

po prawej stronie tyle samo. Jakie warunki były, to trudno w tej chwili opowiedzieć. Żadnych pościeli, żadnych swobód, żadnych warunków sanitarnych- absolutnie. Były prycze po lewej stronie podwójne, a po prawej stronie potrójne. Brud niesamowity, pluskwy i różne paskudztwo. Jeżeli wszyscy się położyli spać i któraś z pań chciała wyjść na zewnątrz, to kiedy wracała, to nie miała gdzie się położyć, bo tak to było stłoczone, dosłownie jak śledzie.

Dopiero po pewnym czasie, nie wiem dlaczego, rozebrano ten barak. Nas umieszczono w baraku numer 7. Tam już były nieco inne warunki. Były takie prycze podwójne- u dołu i u góry i po cztery osoby. Tam było troszeczkę lepiej i dostaliśmy takie jakby sienniki, ale nic poza tym, ani koców żadnych, ani poduszeczek- absolutnie. Ponieważ bardzo gryzły pluskwy, to wchodziłyśmy do tych worków i od wewnątrz się zawiązywałyśmy, ale one były tak wściekłe, że nawet przez ten worek potrafiły gryźć.

Mój brat mieszkał w baraku numer 5 i tam wybuchł pożar. Wszyscy krzyczą, że pożar. Ja zamiast się odwiązać, to się zawiązałam na węzeł i motam się w tym worku na wszystkie strony. Jakoś mnie kobiety zaczęły uspakajać- powolutku jeszcze nie ma nic groźnego, powoli odwiąż. Jakoś się rozwiązałam i wyszłam z tego worka.

Oczywiście pracowałyśmy w kołchozie. Moja mama pracowała w pralni. Ja pracowałam w kołchozie, praca była bardzo ciężka. Kierownikiem tego kołchozu był Rumun. On też był najprawdopodobniej jakimś tam więźniem. Ręką machał na wszystko, ale musiałyśmy pracować. Była norma do wykonania. Poszliśmy kiedyś na łąkę i on powiedział, że mamy spulchnić tę łąkę, tak, żeby tam nasiona wrzucać i

żeby coś wyrosło. Mieliśmy szpadle i norma na każdego była 100 metrów. Człowiek niedokarmiony, łąka i trzeba skopać 100 metrów szerokości i 100 długości. Myślmy, jak to zrobić, żeby sobie jakoś dopomóc? Potem robiłyśmy tak: krajałyśmy takie polacie i... razem, przewracamy. I znowu tak i znowu. Po kolei robiłyśmy każdej łąkę.

Ten obóz to się mieści gdzieś między Moskwą a Leninem. Ziemia była urodzajna, taże potem to się tylko ją ciapało i w to wrzucało się nasiona, w to była sadzona kapusta. Wyrosło przepięknie - marchew, to w życiu nie widziałam takiej dużej / widocznie tam nigdy nic nie rosło, a ziemia przy tym dobra, to wyrosło bardzo ładnie /. Okres wegetacji był krótki, bo pamiętam myśmy chodziły gdzieś w końcu maja tą ziemię kopać, a na początku czerwca się siało. A potem u nich jesień też wcześniej, więc musieliśmy wcześniej zbierać. A kwiaty, w życiu takich nie widziałam.

Jak się szło przez łąkę do tego kołchozu, to tonęło się w nich. Wykorzystać należycie tę ziemię - to kraj miodem płynący. Szliśmy kiedyś do kołchozu w listopadzie coś robić z ziemniakami. Kto mógł to kraść, ziemniaki w kieszeni, buraki co się tylko dało, to wszystko nieśliśmy, bo człowiek ciągle głodny. Jeszcze niektórzy mogli wszystko jeść, ja - nie. Chleb, dosłownie "pajkę", ale to była glina, można to było skubać, skubać i chleba nie ma, a człowiek głodny / chyba było to 300 gramów /. Ja zawsze postanawiałam, że będę czekała z tym chlebem na zupę "pachlopkę". A skąd, godzina 9-ta, chleba nie było, człowiek głodny, kiszki skręcają z głodu. Przynieśli potem takiej zupy - lury, naleją do menażek, potem chlapną łyżkę soli najczęściej

była taka kasza,której ja nie znosiłam.Mnie skręcało z głodu,a nie mogłam tego jeść i bardzo szybko się wykończyłam.Przecież praca była ciężka a odżywianie słabe.Zaczęłam chorować.

Kazano nam wychodzić do pracy już o godzinie trzeciej nad ranem.To było latem ale nie pamiętam,jaki to był miesiąc.Ozukałam się bardzo niedobrze,wiedziałam,że mam temperaturę.Poszłam do naszej grupowej - to była osoba,która nami się opiekowała i reprezentowała naszą grupę wobec władz obozowych - i powiedziałam,że jestem chora.Ona dotknęła ręką mojego czoła i powiedziała,wyraźnie poruszona: ty jesteś jak płomień.

Natychmiast posłała kogoś z wiadomością do obozowego szpitala.Wkrótce przyszedł sanitariusz i zmierzył mi temperaturę.O godzinie trzeciej nad ranem miałam czterdzieści stopni temperatury.

Oczywiście skierowano mnie do szpitala,w którym przeleżałam dwa tygodnie.Ale pożytek z tego był niewielki - bo tam nie było czym leczyć.Ponieważ miałam młody,silny organizm,to pokonałam tę chorobę.Dostawałam tam jakieś lekarstwa,ale to były leki podstawowe:jakaś aspiryna czy tabletki od bólu głowy.

W szpitali pracowali też lekarze Polacy.Pamiętam,że wśród nich był pan doktor Drozdowski z Białegostoku.Miał opinie i rzeczywiście był dobrym lekarzem.Pamiętam,że on właśnie mnie badał i robił to bardzo szczegółowo.Po zakończeniu badania powiedział do mnie tak:

- Moja droga,tylko powrót do domu może ciebie wyleczyć.Bo tu lekarstw nie ma.Nie będę tego owijał w bawełnę:jeżeli stąd nie wyjedziemy w możliwie krótkim czasie - to niestety,możesz tu pozostać na zawsze.

Powiedział mi tak od razu, wprost. I po chwili dodał: staraj się jakoś oszczędzać - bo ja wówczas bardzo wychudłam. Zresztą później ciągle chorowałam.

Kiedy leżałam w obozowym szpitalu, to tam były szczury jak koty. Zresztą to była plaga nie tylko szpitala, ale całego obozu. Kiedyś - będąc w szpitalu poczułam - jak mi coś weszło na nogi. W pierwszej chwili sądziłam, że to kot. Spojrzałam i stwierdziłam w pierwszej chwili, że to coś dużego. Po chwili nie miałam wątpliwości, że to jest olbrzymi szczur. Narobiłam takiego wrzasku, że w jednej chwili postawiłam na nogi cały szpital. Tylko szczur wcale się tym nie przestraszył: spokojnie zeskoczył, dopadł jakiejś dziury i pobiegł.

Kiedy po jakimś czasie rozbierano pierwszy barak w obozie, w którym ja uprzednio mieszkałam, zaraz po przyjeździe do obozu, zdjęto w pewnej chwili podłogę. Teren, na którym znajdował się obóz - był bagnisty. Budynki wszystkie budowano na specjalnych palach. Kiedy więc odkryto podłogę, oczom wszystkich ukazało się dosłownie tysiące szczurów. Do naszego baraku przybiegły panie i powiedziały: idźcie i zobaczcie, ile tam jest szczurów. Zobaczyłyśmy: siedziały przy palach, dosłownie jeden przy drugim. Nic więc dziwnego, że one łaziły po obozie. To było coś niesamowitego. One utrudniały ludziom życie.

Tamiętam też taki moment, kiedy to pluskwy ~~zza~~ dały się we znaki. Myszy mieli takie ogarki, które paliliśmy. Kiedyś w takim ogarku zapaliła się nafta i pani trzymająca ten ogarek w przerażeniu rzuciła go na podłogę i to spowodowało wybuch płomienia. A w tym czasie na samej górze przy-

czy / myśmy w gwarze obozowej mówiliśmy: na trzecim piętrze/ siedziały panie. One już właściwie spały i nie wiedziały początku zajścia. W tym momencie ktoś przeraźliwie krzyknął, że jest pożar. W tym hałasie one się obudziły i z przerażeniem stwierdziły, że się pali. Jedną z tych pań w najwyższej panice skoczyła z górnej pryczy i w efekcie połamała nogi. Bo to było bardzo wysoko, jako że barak był wysoki.

W obozie była oczywiście kąźnia. Co jakiś czas nas tam pędzono. I rzeczywiście w naszej kąźni obozowej można było umyć się. Dawano dużo pary i było gorąco. W tym czasie nasze ubrania były oddane do dyzjenfekcji. Ale ten zabieg nie był skuteczny. Wyraź widocznie ta dezynfekcja nie robiła większego wrażenia na naszych insektach, bo one nadal były. Ucinano włosy /obozowiczom/ i stosowano różne inne zabiegi, ale bez skutku.

Ogólnie to był koszmar. I jedzenie było złe i sam fakt przebywania w tym obozie też szarpał zdrowie. Pamiętam kiedyś, że chyba pięciu mężczyzn / liczby ich nie jestem pewna/ uciekło z obozu. Myśmy wiedzieli, że oni uciekli. Wszyscy modliliśmy się gorliwie prosząc Boga, żeby im się udało. Niestety. Złapano ich i rozstrzelano od razu, z miejsca. Ciała ujętych przywieziono do obozu i rzucono na druty. Następnie wszystkich obozowiczów wypędzono z baraków na zewnątrz i całymi grupami prowadzono koło tych ciał. Oficjalnie powiedziano nam, że oni chcieli uciekać i wpadli na druty / w co oczywiście nikt z nas nie wierzył, wszyscy wiedzieliśmy, jak było naprawdę, a władze obozowe przede wszystkim/. Ponieważ druty były pod napięciem - mówiły da-

lej władze obozowe - zginęli. Było to oczywiste kłamstwo. Wszyscy bowiem wiedzieliśmy, że oni zostali rozstrzelani, a następnie przywiezieni do obozu. Kłamstwo to nie miało żadnego sensu. Przecież powszechnie wiadomo, że wiadomości przedostają się przez wszelkie zakazy w jakiś sposób i utrzymanie tajemnicy nie jest do końca możliwe zwłaszcza w licznym zbiorowisku.

Wśród straży czy może lepiej personelu obozowego był sowiecki oficer, którego myśmy powszechnie nazywali "cap-carap". Do dziś nie wiem, jak brzmiało jego prawdziwe nazwisko. Początkowo uważałam, że jest on zupełnie przyzwyczajonym człowiekiem. Ale później się okazało, że i on był taki sam jak oni wszyscy. Wyjątkiem był - komendant tego obozu. Był to człowiek w całym tego słowa znaczeniu. Był w randze pułkownika, ale niestety, nie pamiętam jego nazwiska. On właśnie często przychodził na takie inspekcje. Podczas takich inspekcji wszyscy kierowali do niego swoje uwagi i żale. On wszystkich spokojnie wysłuchiwał. Sądzę, że on nic więcej nie mógł zrobić. On tylko pocieszał: wy długo tu nie będziecie. Być może, że on się orientował. Imponował nam swoim spokojem. On zawsze każdego wysłuchiwał i zawsze był spokojny.

Kiedyś była taka sytuacja: w obozie ~~była moja kuzynka~~ ~~panowała cyngaxko~~ nazywała się ~~Wofia~~ Jaromska. Zostawiła tu malutkiego chłopczyka, który wówczas miał chyba półtora roku, kiedy ją aresztowali. Ona z tego powodu była wyjątkowo rozżalona i bardzo płakała. Kiedyś, zdesperowana do ostateczności skoczyła do tego pułkownika i chwyciła go za klapy munduru. A on zachował się wyjątkowo: spokojnie wziął ją za rękę,

gdyż wiedział, że ma do czynienia z kobietą doprowadzoną do ostateczności. Spokojnie powiedział do niej: niech się pani nie denerwuje. Wszystko ułoży się dobrze. Wróćcie. Ja wam mówię, że wróćcie.

I później był taki moment, kiedy rzeczywiście w 1946-tym roku przyjechała specjalna komisja i ludzie, którzy mieli wracać do kraju zostali wyczytani. Otwarto bramę obozu i wyczytani wychodzili czwórkami - już bez konwoju oczywiście - to on stał przy bramie i widać było, jak bardzo się z tego cieszył. Ludzie wychodzili bez konwoju i bo kiedy szliśmy pod strażą, to co kilka kroków szedł uzbrojony "bojec" z karabinem, na którym był bagnet i nie było nawet mowy, żeby choć na chwilę odejść na kilka kroków od kolumny marszowej.

Komendant stał obok i życzliwie machał ręką odchodzącym. Podobno - tak się w obozie mówiło - on i wszyscy oficerowie byli skierowani do pracy w tym obozie za jakiegoś przewinienie i traktowali swój tam pobyt jako karę. Nie wiem, czy to prawda.

W obozie był też drugi oficer, którego powszechnie bardzo nie lubiano. Przezywano go "Kaczy łeb". Dlaczego tak go nazywano - nie mam pojęcia. Prawdopodobnie miał taki kształt głowy. Był bardzo niesympatyczny. Spomniany "cap - carap" na początku wydał się bardzo sympatyczny a później miało okazać się coś zupełnie coś innego. Mówiło się, że prawdopodobnie on brał udział w obławie za uciekającymi obozowiczami i że to on własnoręcznie rozstrzeliwał schwytych. Mówię "prawdopodobnie", bo ja tego nie widziałam. Tak tylko mówiono.

Był też w obozie jeden oficer polskiego pochodzenia. Jego nazwiska nie pamiętam. To był typowy Polak. To był tak wstrętny typ; on inaczej na nas nie nazywał jak "czortowe kukły". /nie wiem dlaczego/. Pamiętam, kiedyś nas wyprowadzili do jakiś prac na polu, jakieś prace porządkowe- mężczyźni się bali, żeby jemu trochę nauragać, a kobiety- ależ mu dęły wtedy, wyzwały go od różnych. Dziwię się tylko, że kobiety mu nauragały, a on przecież był oficerem i że nie było konsekwencji. Wyzwały go prawie od świa. Potem dowiedzieliśmy się, że jego matka była Polką, a on został tak wychowany, że nie znosił Polaków. Taka była o nim opinia, nic dobrego nie zrobił- to na pewno.

Kobiety się nudziły siedząc w tym obozie jak nie szły do pracy. Kręciły włosy na papierki, żeby pokazać, że oni nie mogą nas już tak pogłębić, żeby wprowadzić nas dosłownie w dno.

Jednego razu ten cap-carap przyszedł wieczorem, bo on przychodził do nas tam porozmawiać, przyszedł i patrzy jak my sobie nakręcamy włosy i powiedział- tak nakrucicie i mienia. Usiadł pośrodku i pamiętam takie młode dziewczyny nakręcały mu włosy na papierki, potem włożyły mu tę czapkę na głowę. Pochowały papierki i mówią, żeby on w nocy pochodził w tej czapce, a na jutro będzie miał kręcone włosy. I on poszedł. Miał dyżur. W nocy przyszedł jakiś oficer na inspekcję. Oni mają taki dziwny zwyczaj posuwania czapki jak są na przykład zażenowani. I on tę czapkę przesunął, a tu cała głowa z papierkami. Oficer zbeształ go, wyrzucił/potem to nam opowiadał jego kolega/, a on w nocy wali do nas do sali i mówi - postrzelam, szalał,

pienił się, myślałam, że nas pozabija. Nie mam pojęcia, skąd to jego przezwisko cap-carap. Jak tam przyjechaliśmy już go tam tak nazywano.

Był taki karcer. To była piwnica wilgotna, mokra, do której za karę sadzano o wodzie i chlebie, albo o samej wodzie. Jeśli ktoś podpadł w obozie, to tam sadzano. Najgorszym wrogiem człowieka jest głód. Wtedy człowiek nie myśli, że może ponieść jakieś konsekwencje, więc kombinowaliśmy na kuchni, żeby jakoś sobie dopomóc w tym głodzie. Ja potem na skutek tego, że byłam tak wycieńczona nie mogłam chodzić, to przez pewien czas byłam w takiej "uzdrowicielskiej komendzie". Po było coś takiego, że tam było nieco lepsze odżywianie. Między innymi, chociaż nie byłam palącą, dostawałam tytoń. Oddawałam palącym, albo dostawałam chleba trochę więcej czy cukru. Pamiętam, że dostałam jakąś konserwę amerykańską. Trwało to pewien czas, żeby się wzmocnić, ale to wiele nie pomogło. Do kraju wróciłam bardzo chora.

Ale tu szybko jakoś się otrząsnęłam. Poszłam do pracy. Ale po dzień dzisiejszy mam chore wszystkie stawy, bo tam był teren błotnisty, szalała malaria. Tam wiele ludzi zmarło z malarii, m.in. pani z Wasilkowa pani Keler zmarła właśnie z malarii.

Tej pani Keler nie znałam bliżej. Wiem, że jej mąż pracował w Wasilkowie w zakładach włókienniczych. Ona natomiast była chyba "przy mężu", czyli wychowywała dzieci. Jeśli dobrze pamiętam - oni mieli dwoje dzieci. Ona już stamtąd nie wróciła do Polski.

Moja mama wróciła z malarią do domu i tu, w Polsce dopiero się wyleczyła. W obozie bardzo chorowała i niestety, pracowała w obozowej pralni - bo musiała. Każdy przebywający w obozie

musiał gdzieś pracować. Ponieważ mamie najbardziej odpowiadała praca w pralni - to tam i pracowała. Ale .Ale napracowała się bardzo. Kiedy już wróciła do Polski - to już zdrowia nie miała. Malaria, na którą mama mocno chorowała - ciągnęła się bardzo długo.

U nas w "asilkowie" był jeszcze wówczas felczer Makuszewski, który również przebywał z nami w obozie. b on mamę długo leczył.

Kiedy ja jeszcze wróciłam do Polski, to nadal chorowałam na świerzb. Długo chodziłam ze świerzpem, zanim się z niego wyleczyłam. Oczywiście ta choroba miała swoją genezę w tym, że w obozie panował bród. Irzecież tam na każdym kroku towarzyszyły nam insekty. Ja na szczęście nie miałam tam większych problemów, bo nie miałam ani uciętych włosów ani innych drastycznych zabiegów. Ale gdy jeszcze o tym teraz pomyślę, to jeszcze teraz mi wszystko wewnętrznie "chodzi". Nie mogę nadal się opanować.

Jeszcze teraz pamiętam obóz dokładnie, jakbym na niego patrzyła. Widzę konkretne baraki i ludzi, tych biednych ludzi w obozie. Byli tam przecieź i tacy obozowicze, którzy szukali jedzenia w śmietnikach, żeby napełnić żołądek. Bo w samej rzeczy - cóż znaczył dla mężczyzny niewielki kawałek glinianego culeba? A zupa była wodnista. Kiedyś taką zupą zatrul się cały obóz. Były też i takie wypadki, że w zupie znajdowano myszy. Gotowano też zupy z pokrzywy. Pamiętam, że ja tej zupy nie jadłam, nawet nie wzięłam do ust.

Co to się działo, kiedy cały obóz się zatrul. Irzyjechała nawet jakaś komisja, gdyż władze obozowe powiadomiły swoje władze zwierzchnie. Wszyscy bowiem mieli wysoką temperaturę

a wielu dostało torsji. Po tym zajściu przez pewien czas mieliśmy lepiej. Poprawiło się nam. Być może władze obozowe coś kombinowały z tym jedzeniem. Podobno po tej aferze zainteresował się naszymi warunkami Czerwony Krzyż. Zaszkły pewne, nieznaczne zmiany. Między efektem tych zmian było to, że ja znalazłam się w drużynie ciężko chorych. Pamiętam, że dostawałam drożdże.

Po jakimś czasie zaczęliśmy otrzymywać konserwy amerykańskie. Zaczęto nas karmić nieco lepszymi zapami. I to właśnie postawiło mnie "na nogi" i utrzymało przy życiu. To pomogło mi przeżyć.

Skoro jestem przy moim zdrowiu, to chcę powiedzieć, że będąc jeszcze w więzieniu w Białymstoku - wszystkie kobiety dostały jakiś środek - po którym nie miałyśmy okresu. I kiedy byliśmy już w Rosji - silniejsze kobiety dostały okres. Zgodnie z opinią doktora Drozdowskiego - ten właśnie fakt zaniku okresu miał ogromny wpływ na stan mojego zdrowia. On mi wówczas powiedział, że jeżeli ja wrócę do kraju, to wszystko się unormuje. Ale jeśli przez dłuższy czas nie wrócę do kraju, to to niestety odbije się na moich płucach i sprawa może zakończyć się tragicznie.

I stało się dokładnie tak, jak on powiedział. Do kraju wróciłam w styczniu, a już w lutym wszystko było w porządku, tak jak lekarz powiedział.

Oczywiście wychudłam bardzo. Z normalnej sukienki zrobiła mi się sukienka długa, do uł do kostek. Byłam cieniem człowieka. Po powrocie wszyscy w mojej rodzinie załamali nade mną ręce. Zresztą nie tylko ja tak wyglądałam, bo i mój brat był taki sam.

Moje wspomnienia związane z pobytem w obozie są bardzo smutne. Nie lubię o tym wspominać i bardzo niechętnie mówię na ten temat. Jeżeli kiedykolwiek coś mi się śniło w obozie, to zawsze przerażona budziłam się, cała spocona. Bo to przeżyłam - już pomijając wojnę, bo wiadomo, jak było ciężko w tym okresie okupacji - to to, co przeżyłam w obozie, to był koszmar. Inaczej tego nie potrafię określić.

O wielu sprawach zapomniałam. Zresztą ten okres kilkunastu lat swoje zrobił. To prostu rany się zabiły. Ale kiedy spotykam się z ludźmi, którzy tam byli, to przeżywam to na nowo. Bardzo chciałabym, żeby nikt i nigdy nie przeżył tego co przeżyło nasze pokolenie.

Ojca i mnie aresztowano jednocześnie, razem. Aresztowano wówczas ojca, moją mamę, najmłodszego brata i mnie. Moim dwóm starszym braciom udało się wyjątkowo. Ponieważ w czasie aresztowania było dość ciepło, oni w tę noc spali na górze. Czy aresztujący nas NKWD-yści wchodziłi na górę, czy może nie wchodziłi, czy może weszli, ale z powodu ciemności ich nie zauważyli - nie wiem. Bracia uniknęli aresztowania. Zostali w domu. Tak więc do obozu trafiliśmy: nasi rodzice i ja z najmłodszym bratem.

Ale po pewnym czasie naszego ojca wywieziono z Ostaszkowa do obozu w Riazaniu. Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było. Pamiętam jedynie, że to była zima. Był to chyba rok 1945-ty, Najprawdopodobniej był to luty - marzec. w obozie w Riazaniu ojciec przebywał do października 1947-go roku. Był tam przez trzy lata na pewno, bo wrócił do domu w październiku 1947-go roku.

Moj ojciec miał wyjątkowo zdrowe zęby. Nie miał w ogóle u-

bytków. Ale gdy wrócił i usmiechnął się - nie poznałam. Jak powiedział - w ciągu jednej nocy stracił osiem zębów. Było to żniwo szkorbutu, spowodowane brakiem witamin.

W obozie w Riazaniu ojciec przeżył też makabrę. Pracował w kołchozie oraz w jakimś zakładzie - nie pamiętam - jakim. Ojciec już nie żyje. Gdyby żył, na pewno wszystko dokładnie by opowiedział. I siedział tam nie piętnaście miesięcy lecz przez trzy lata.

Mój najmłodszy brat był razem z nami. Wróciliśmy z nim w jednym dniu.

Z naszym powrotem wiąże się prawdziwa tragedia osób. Otóż do obozu przyjechała komisja i oficjalnie powiadomiła, że osoby przeczytane z listy wyjeżdżają do domu. Co musiało się dziać w sercach tych ludzi, którzy nie znaleźli się na tej liście. Tego widoku nigdy nie zapomnę. Kiedy my - wyczytani - przeszliśmy już przez pierwszą bramę - a ci, którzy zostali, wśród nich była moja kuzynka - ci ludzie płakali, krzyczeli i wyciągali ręce. Bo oni nie mieli wątpliwości, że my rzeczywiście jedziemy do domu. Odczytano przecież oficjalnie listę oraz widać było, jak wobec nas zachowują się wojskowi. Nie prowadzili nas pod bronią. Myśmy szli swobodnie. Ze straży obozowej ktoś szedł z przodu, ktoś z tyłu, ale bez broni. Nie było atmosfery konwojowania.

Z obozu poszliśmy od razu do dworca, bo to było niedaleko. Tam załadowano nas do takich samych wagonów jak poprzednio. W dodatku wagon, do którego akurat ja trafiłam, był jakiś metalowy. Pamiętam, że będąc w tym wagonie strasznie marzłam. Spałam kiedy mieliśmy przekroczyć granicę. Budzono tych, którzy w tym czasie spali. Kiedy mnie obudzono i chciałam wstać - nie mo-

głęboko się podnieść. Okazało się, że moje włosy przymarzły do ściany wagonu. Stało się to w czasie snu, kiedy miałam głowę opartą o ścianę. W pierwszej chwili myślałam, że ktoś nadepnął mi na włosy. Wkrótce okazało się, że nikt nie nadepnął, że to mróz.

W takich to warunkach wracaliśmy do Polski. W drodze powrotnej były takie stacje, na których pociąg zatrzymywał się i mogliśmy wychodzić. Oczywiście nie wolno było oddalać się na większą odległość. Przecież w tym celu był konwój. Ale też nikt nie krzyczał: stój, bo będę strzelać. Pod tym względem było znacznie lepiej.

Przyjechaliśmy do Białej Podlaskiej. Tu nas ludzie witali. Kto z miejscowych mógł, zabierał nas do mieszkania. Między innymi i ja tak trafiłam. Ja z mamą i chyba jeszcze z jakimś panią zostałyśmy zaproszone do pewnych państwa w Białej Podlaskiej. Zapraszający nas państwo poczęstowali nas obiadem. Tam też oczywiście umyliśmy się. Wypiłyśmy gorącą herbatę i już poczułyśmy się inaczej. Było swobodnie. ~~Kto~~ Gdzie kto chciał, tam mógł pójść. Musieliśmy się zgłaszać do punktów repatriacyjnych, aby otrzymać stosowne dokumenty osobiste.

Do Białego Stoku nie jechałam przez Lublin /Siedlce?/ ale przez Warszawę. Tam, w Warszawie zgłaszałam się do Punktu Repatriacyjnego. Świadczą o tym stemple na moich dokumentach, które nadal posiadam. Pociągami w Polsce w drodze powrotnej jeździliśmy ~~przez~~ bezpłatnie. Jak pamiętam, to na te dokumenty jeździłam jeszcze długo; przez wiele miesięcy jeździłam bezpłatnie.

Warszawa wywarła na mnie przygnębiające wrażenie z powodu

ogromu zniszczeń. Był to styczeń roku 1945-go / oczywiście błąd. Powinno być: rok 1946-ty/. Pamiętam ulicę Marszałkowską. Jeszcze w tej chwili widzę: jedno ogromne rumowisko. I tam gdzieś na dworcu - bo na swoich dokumentach widzę pieczętki Warszawa Wschodnia - widocznie coś nam dali. Tego już teraz nie pamiętam. I wtedy wróciłam do domu.

Po powrocie nie wiedziałam, jak mam się zachować. Wówczas, na naszym terenie działała i partyzantka, grasowały bandy. Na ten temat wiele nam naopowiadano jeszcze w pociągu. Ostrzegano: trzeba dobrze wiedzieć, z kim się rozmawia. Wszyscy chodzili ubrani w polskie mundury, ale nie było wiadomo, kto to jest. Nigdy nie było wiadomo, czy to byli partyzanci czy z UB-e. Nic nie było wiadomo.

Pamiętam, że kiedyś, po moim powrocie, którejs nocy też zapukano. Do mieszkania wszedł mężczyzna w polskim mundurze, widocznie z UB-e i powiedział do mojego starszego brata - nazywał się Józef, został później lekarzem, mieszkał w Augustowie i tam zmarł - proszę się ubierać. Pojdziliśmy na sprawdzenie dokumentów.

Mysmy dobrze pamiętali, że kiedy nas aresztowano i wywieziono do Rosji - to w chwili aresztowania też nam powiedziano, że jesteśmy wzywani na sprawdzenie dokumentów. Kiedy to usłyszeliśmy teraz, znowu od nowa wszystko to przeżywalismy. Ale tym razem okazało się, że rzeczywiście chodziło o sprawdzenie dokumentów. Rano spokojnie powrócił do domu. Ale cośmy przeżyli w tę noc - to przechodzi ludzkie pojęcie. Nikt z nas przez całą noc nie spał. Oczekaliśmy, że znowu przyjdą do nas i znowu nas wszystkich wywiozą do Rosji. Ale on wrócił do domu. Następnie jakos powoli zaczął pracować. Ja również, już w

marcu poszłam do pracy. Akurat otwarto okręgowy urząd samochodowy, w którym znalazłam zajęcie. Po jakimś czasie nastąpiła reorganizacja: okręgowy urząd został włączony do Urzędu Wojewódzkiego. Tym samym i ja od tego czasu pracowałam w Urzędzie Wojewódzkim. Tam przepracowałam czterdzieści jeden lat.

W roku 1987-mym odeszłam na emeryturę.

Przez wszystkie lata - w Polsce Ludowej - nigdy nie wstawiałam do życiorysu faktu, że byłam wywieziona do Rosji. Bałam się po prostu. Widocznie w pracy nikt o tym nie wiedział, bo nikt nigdy o to nie pytał. I z tego powodu nigdy nie miałam żadnych kłopotów. Sądzę, że gdybym to wstawiła do życiorysu, to zapewne miałabym problemy. Wiadomo mi bowiem, że z tej przyczyny wiele osób miało trudności - z takich czy też innych względów.

Ja nigdy tego nie ujawniałam. Doszłam do wniosku, że nie ma sensu narażać się. Przeszłam przecież w swoim życiu już taką makabrę i nie chciałam ponownie znaleźć się w obozie.

Ojciec, jak wspominałam, wrócił w październiku 1947-go roku. Po powrocie przez jakiś czas odpoczywał, a następnie poszedł do pracy.

Aresztowania i wywózki w Wasilkowie trwały przez cały czas okupacji sowieckiej. Pamiętam, że był piątek, dwudziestego czerwca 1941-go roku, na dwa dni przed wybuchem wojny niemiecko - sowieckiej. Nasi sąsiedzi - państwo Harasimowicze znaleźli się w niebezpieczeństwie. Do ich domu przyszli Rosjanie z zamiarem aresztowania i wywiezienia ich wiadomo gdzie. Młody pan Harasimowicz - Leon - poszedł we wrześniu na wojnę, z której nie wrócił. Jak się potem okazało, zginął

w czasie działań bojowych. walczył jako spadochroniarz. Zostały po nim cztery córeczki. Najmłodsza z nich była niemowlęciem. Jego żona - Kazimiera - mieszkała razem z tymi dziećmi. W tym samym domu - w drugiej jego połowie - mieszkali teściowie - rodzice jej męża.

Właśnie w ten piątek - przyszli do niej NKWD-yści i kazali jej się ubierać. W tym czasie jej teściowa - nazywaliśmy ją "babcia Harasimowicz" - na imię miała Aniela - po prostu uciekła. Co się stało ze staruszką Harasimowiczem - nie wiem. Na pewno nie był aresztowany. Widocznie oni też - kiedy NKWD-yści weszli do pani Kazimierzy - wyszedł drugimi drzwiami. Babcia przybiegła do nas na ganek. Na ganku przykucnęła, ponieważ usłyszała, że oni idą już do naszego domu. I to ją uratowało.

Oni przeszli tuż koło niej i jej nie zauważyli. Ona skorzystała z tego i szybko wybiegła do ogródka i tu schroniła się w krzakach malin. I w ten sposób babcia uchroniła się przed aresztowaniem i wywózką.

Natomiast do pani Kazi Harasimowicz przyszła jej bratowa. Tak pokierowała sprawą i tak się zachowywała, że skoncentrowała na sobie całkowitą uwagę funkcjonariuszy NKWD. Pani Kazimiera natychmiast to wykorzystała i uciekła. Ktoś był koło okna, komu ona podała dziecko malutkie, to najmłodsze i sama wyskoczyła przez okno. Po przeciwnej stronie ulicy mieszkali jej rodzice. Ona wpadła do rodziców na podwórko, następnie przepłót, przez jakiś cudzy ogród i uciekła.

W domu zostały małe dzieci, które nie mogły być wywiezione bez matki. W ten sposób ona się uratowała i uratowała swoje dzieci. W poniedziałek już w niedzielę wybuchła wojna, cała

rodzina uniknęła wywózki. Jest to bliżej znany mi wypadek, jak postępowali funkcjonariusze NKWD.

Oczywiście wszyscy się bali. Mogli przyjść i wywieźć. Między innymi rodzina państwa Dąbrowskich-ich córka była ~~ła~~ moją koleżanką, bo uczyłyśmy się razem. Ojciec zginął w Katyniu. Został powołany do wojska. Był kierownikiem szkoły, potem na pewno w randze oficera walczył. Zginął w Katyniu, o czym już wiedzieliśmy w czasie okupacji, bo Niemcy wywiesili listę w kościele na drzwiach, że odkryto takie miejsce morderstw oficerów polskich. Natomiast jej matkę, ją i dwóch braci wywieziono na Sybir. To było na początku wojny, jak tu Sowieci przyszli. Tam przebywali przez 6 lat. Brat starszy dostał się do Anglii i wrócił po wojnie stamtąd, a matka, ona i młodszy brat wrócili już z Sybiru. Oczywiście co oni przeżyli, to tylko oni sami mogą powiedzieć.

Z osób, które pamiętam to były wywiezione, tak- pani Keler, o której wspominałam, ona zginęła. Była druga pani Keler, która już nie żyje, ale wróciła. Pani Żgaj-gospodyni domowa, jej mąż był masażem ^{ry} przed wojną. Następnie moja kuzynka, o której mówiłam. Jej mąż był aresztowany, a ona wywieziona- Zofia Jaromska, ~~jej~~ brat, ojciec, matka moja Helena. Następnie -państwo Cylwikowie. Oboje byli pracownikami umysłowymi-urzędnicy. Pani Jasia Żyłkiweicz, nauczyciel, o którym wspominałam. On wrócił, ale potem został zamordowany w Warszawie. Pojechał służbowo i został zamordowany. Czekał na pociąg, bo widziano go, że czekał. Zginął w nieznanych okolicznościach. Znalezione jego zwłoki. Pani Zawadzka była. Jej mąż pracował tu w zakładach włókienniczych, a ona po

prostu wychowywała dzieci. Pan Augustynowicz też był w obozie. Cała grupa ludzi, już nie mówię o tych, którzy byli wywiezieni na Sybir- mnóstwo..

Mój mąż, Burzyński Eugeniusz, jego dwaj bracia - Zbigniew i Mieczysław. Mieczysław był potem wywieziony z moim ojcem do Riazania. Pan Sobolewski Henryk, który zginął tam. Był w Ostaszkowie, a potem przewieziony. Pracowali na polu i niechcący nadział się na kosę i zmarł w szpitalu.

W modlitwach nikt w zasadzie nie przeszkadzał, bo sami to robiliśmy zwykle wieczorem i to masowo, np. różaniec odmawialiśmy. Był ksiądz, który był klerykiem - Piotrowski. On przychodził i modliliśmy się. Poza tym indywidualnie, grupowo. Ale nikt specjalnie nie przeszkadzał i nie wyciągał konsekwencji czy zabraniał.

Uważano nas za wrogów. Nie byliśmy burżużami. Tato mój pracował w tych zakładach włókienniczych, to były fabryki prywatne. Z tego utrzymywał rodzinę. Zastanawialiśmy się często, dlaczego nas to dotknęło? Dlaczego zostaliśmy wywiezieni? Był przed wojną radnym, może się komuś naraził? Być może to. się nie podobało komuś i dlatego zostaliśmy wywiezieni. Nawet proponowano mu po wojnie kandydata na radnego, ale nie chciał.

Wiem, że kiedy nas nie było, to wiele tu osób zginęło. Ponoć to byli konfidenci, którzy pomagali tu, ale ja nie wiem. Rozprawiono się tu potwornie. Z tego co wiem, to niektórzy niewinnie zginęli. Nas w tym czasie nie było, bo to był głównie rok 1945. Jak wróciliśmy do kraju, to już było spokojnie. Zdarzały się różne historie. Jak wróciłam, to nie wiedziałam z kim i na jaki temat mam rozmawiać? Między innymi przyszedł mój kolega, on już nie żyje, i zaczął mnie

pytać, jak myśmy tam byli, co i jak? Ja się bałam z nim rozmawiać, bo nie wiedziałam, kto on jest. Jak się potem okazało, to był bardzo porządny człowiek. On po prostu przyszedł jako kolega z ciekawości. Brat mi mówił, że nie muszę się go obawiać. Ale jak on przyszedł, brata nie było, usiadł, zrobiłam mu herbatę i zaczęliśmy rozmawiać.

Po pewnym czasie on sam mówi - chyba ty się mnie boisz? Mówiąc szczerze - nie wiem, kim ty jesteś? Tyle się nasłuchałam w pociągu - trzeba uważać, co się mówi i z kim się rozmawia. Ja mu wtedy powiedziałam, że rzeczywiście nie wiem, kto ty jesteś i po prostu się boję. On się wtedy szczerze roześmiał, że ustąpiły wątpliwości i porozmawiałam z nim szczerze. Ale bałam się, bo to był taki okres.

Chociażby potem nawet, jak przychodzili po brata. A ja wiem, kto to? Wojsko - otworzyć - wojsko polskie, a jakie wojsko? Byłam u koleżanki na weselu. Przyszli partyzanci. A jacy oni? Czy to banda? Czy to partyzanci? Nikt nie wiedział. To był rok 1947. Był jej ślub, było przyjęcie. Przyszli pogapili się, pobawili się i poszli. A kto to. był? Ludzie przerażeni, bo zdarzały się morderstwa. Każdy drżał o swoje życie, a szczególnie ci co przybyli tam z Rosji.

Ja osobiście najgorszemu wrogowi nie życzę tego, co myśmy przeżyli w okresie ostatniej wojny. Właściwie to zmarnowane życie. Bo najpierw - wojna - ten koszmar, potem obóz, a potem wiadomo jak było ciężko po wojnie.

Zaczynaliśmy z mężem od zera, od niczego dosłownie. Cały czas pracowaliśmy, pracowaliśmy, pracowaliśmy. I co właściwie w życiu widzieliśmy? Nic dobrego. Teraz znowu nie jest łatwo. Ale człowiek musi jakos ciągnąć i brnąć.

Nie chciałabym, aby moje dzieci, wnuki doczekały wojny.

Lepiej biednie,byleby spokojnie.Zeby nie doszło do jakiegoś konfliktu,do jakiejś sytuacji,jak w tej chwili mamy np. w Jugosławii.Niech nas Bóg broni od tego.Niszczą wszystko to, o co się starali przez tyle lat.I wszystko to ludzie.

Życie jest takie krótkie.Po co utrudniać to życie?

Zamiast pomagać,to utrudniamy.I wszystko ludzie winni są.

Jeśli chodzi o ucieczki z obozu,to nic nie wiem.Tylko wiedzieliśmy,że uciekli i potem,że tak rzucono ich na te druty i że musieliśmy przechodzić i patrzeć.Specjalnie nas tam prowadzono.Barakami musieliśmy wychodzić i oglądać,że to czeka każdego.Zeby nie próbowali uciekać,bo to każdego czeka.

Te kilkadziesiąt lat trochę to złagodziło,bo pamiętam ten okres zaraz po powrocie to były koszmary.Ja starałam się nie mówić,nie myśleć,bo to coś niesamowitego.To w tej chwili może wzdawać się jak jakieś opowiadanie,jakaś bajka.Natychmiast po powrocie przez długie lata starałam się nie myśleć i nie mówić,żeby jak najwięcej zapomnieć.

wracając do tego obozu.Zaszli,żeby gospodarza a-sztować,a były jego czy kogoś z rodziny imieniny. i sporo osób było na tych imieninach.I zgarnęli wszystkich i przyjechali - cały komplet gości.Między innymi była staruszka,której dawano kawałek chleba,żeby ona się modliła.Jak zmarł Roosevelt,to ona się pytała,z którego on był baraku?

Był też taki mężczyzna niedorozwinięty.Chodził i śpiewał .Chodził po śmietnikach i wybierał obierzyny od ziemniaków i jadał.Owszem,byli też ludzie z partyzantki, AK-owcy,różni ludzie byli.Była taka pani Zosia z Suwałk,energiczna,pełna życia-jak się okazało,ona działała w par-

tyzantce i gdzieś ją u kogoś chwycili. I byli tacy ludzie jak ta staruszka. Jak ona się tam dostała nikt nie wie. Ja też miałam siedemnaście lat, a mój brat piętnaście -dzieciak. Przeżyliśmy makabrę, ale co zrobić.

A szczególnie Polska. Takim biedny kraj. Położenie to strategiczne, jak nie jeden depta, to drugi i tak stale. Ja się bardzo interesuję historią. Przeczytałam mnóstwo książek szczególnie historycznych, to przecież to się powtarza. I ten naród jest tak biedny, że nie wiem, czy to kiedykolwiek się unormuje. My w korytarzu mieszkamy i każdy kto chce to chodzi tam i z powrotem Austriacy, Szwedzi, Czechy, Niemcy, a najbardziej to wschód i zachód. Ja osobiście nie wierzę w przyjaźń ani tych ani tych. Może dlatego, że przeżyłam dużo.

Już się odradza faszyzm, wschodnie Niemcy przeważnie, a tu nie odradza się nacjonalizm? A na Litwie? Stosunek do Polaków.

Syn mój mówi, że jestem pesymistką, a ja tylko realnie patrzę na to wszystko, bo interesuję się tymi sprawami, czytam, słucham dzienników. Nie wierzę, że kiedyś to się unormuje, że ludzie będą życzliwi dla siebie.

Notował: S. Sianko